Nr 44. Warszawa, dnia (17) 29 Października 1898 roku. Rok XL.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kop 10.
Z przesyłką pocztową
Kwartalnie . . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2 Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3. pf. 50.
Cena ogłoszeń: Wiersz petitu i szpalt. lub jego miejsce kop. 12. Nadesłane wiersz i szpaltowy garmontu kop. 50.

FLORYAN ŁAGOWSKI.

Są czyny szlachetne, nieznane nikomu, są zasługi, których nie nagradza nigdy cześć, uznanie, rozgłos szeroki. Takiemi bywają zazwyczaj zasługi, położone na polu wychowania. Wszyscy uznajemy wielką doniosłość pracy pedagogicznej, pojmujemy, że wychowawcy młodzieży są do pewnego stopnia twórcami przyszłości narodów, a pomimo to ci prawdziwi „pracownicy u podstaw" żyją w cieniu, schodzą ze świata cicho, mogiły ich, świeże jeszcze, otulają mgły zapomnienia.

Laury i poklaski głośne ma ludzkość dla wielkich niszczycieli. Kilka zaledwie imion pedagogów wypłynęło na powierzchnię dziejów.

U nas praca pedagogiczna z wielu powodów trudniejszą jest, niż gdzieindziej, zadania jej donioślejsze, odpowiedzialność większa, zapomnienie szybsze.

Społeczeństwo nasze niemal nieświadomie krzywdzi niepamięcią i brakiem uznania tych cichych, zasłużonych pracowników swoich. Obowiązkiem prasy jest przypominać mu ich imiona.

Jedno z takich właśnie nazwisk położyliśmy na czele naszego artykułu

Nazwisko Floryana Łagowskiego znane jest w szerokich kołach młodzieży, wspominane z zapałem, z wdzięcznością serdeczną przez tych zwłaszcza, przed którymi niedostatek materyalny zazwyczaj podwoje szkoły zamyka. Tym spragnionym światła, tym głodnym duchowego chleba, służył i służy zawsze zacny pedagog, ile sił i nad siły nawet, i to musimy mu za najpierwszą w rzędzie zasług jego policzyć.

Floryan Łagowski urodził się 4 Maja 1843 roku w Proszowskiem. Gimnazyum kończył w Kielcach, następnie jako słuchacz wydziału filologiczno-historycznego, wstąpił do Szkoły Głównej. Tu odbył dwa kursa, resztę studyów dokończył w Uniwersytecie warszawskim. W r. 1870 wyszedł ze stopniem kandydata nauk filologiczno-historycznych. Zamiłowaniem pedagogii odznaczał się już jako młodzieniec. Będąc na uniwersytecie pisywał do "Gazety Kieleckiej" artykuły treści pedagogicznej.

W r. 1871 rozpoczął zawód swój nauczycielski, Od roku 1872 do 1875 był przełożonym 4 klasowej szkoły prywatnej w Koninie, potem nauczycielem języka polskiego i historyi literatury w szkołach prywatnych w Warszawie.

Na stanowisku przełożonego 4-oklasowej szkoły klasycznej, a obecnie 6 ioklasowej realnej, które zajmuje od r. 1884, wykazał niezmordowaną swą filantropię, serdeczną, gorącą miłość młodzieży, ojcowską prawdziwie pobłażliwość, i bogaty zasób wiedzy pedagogicznej.

Poza praktyką zajmowała go bardzo żywo teorya. Każdy, komu sprawy pedagogiczne u nas nie są zupełnie obce, zauważyć musi, że w ostatnich latach większość prac pedagogicznych, czy to w zakresie podręczników, czy literatury dziecinnej, czy rozpraw teoretycznych, wychodziła z pod piór kobiecych. Mężczyźni pedagogowie, oprócz nielicznych wyjątków, milczeli i milczą.

Łagowski należy do tych wyjątków. Od czasu, gdy poślubił zawód nauczycielski, nie ustawał w pracy autorskiej. Pisma: „Tygodnik Illustrowany," „Kłosy," „Bluszcz," „Ateneum," dawniejsza „Niwa," „Biblioteka Warszawska," pomieszczały jego artykuły treści pedagogicznej. Sam przez lat pięć pełnił obowiązki redaktora „Przeglądu Pedagogicznego" i „Encyklopedyi Wychowawczej."

Z rozpraw jego wydanych oddzielnie ważniejsze są: „Collegium Nobilium," podająca obraz reformy szkolnej Konarskiego, streszczona w czeskiem czasopiśmie pedagogicznem, i wzmiankowana zaszczytnie w „Dictionnaire Pedagogique Buisson'a" i „O znakach pisarskich" nagrodzona przez kassę Mianowskiego.

Rozproszone tu i owdzie artykuły Łagowskiego, jak np. o Jachowiczu, o Bohomolcu, o Egzaminach, i wiele innych, zasługują na zbiorowe w oddzielnej książce wydanie. Uboga nasza literatura pedegogiczna wzbogaciłaby się cennym istotnie nabytkiem, a praca zacnego przyjaciela naszej młodzieży nie poszłaby w zapomnienie.

Mając w pamięci dwudziestopięcioletnią jego działalność, rzucamy myśl tę w nadziei, że może podjętą zostanie.

X.

Wiktor Gomulicki.

WYZWOLONA.

Karta z życia.

(Ciąg dalszy).

Panna Sabina rzekła ze zwykłą serdecznością:

— Ty wiesz Emciu, że ja gniewać się nie umiem na nikogo — cóż dopiero na swoje uczennice. Gdy jesteście małe, kocham was jak matka; gdy dorośniecie, macie we mnie siostrę starszą i przyjaciółkę. Tobie, Emciu, życzę abyś zawsze miała to wesołe usposobienie, i aby nigdy nie przestały cię zajmować cacka i gałganki. Im dłużej człowiek potrafi być dzieckiem, tem szczęśliwszy.

Panna Emma wybiegła jak barwny motyl, pozostawiając za sobą wonną chmurę perfum.

We drzwiach rozminęła się z uchodzącym młodzieńcem, młodzieniec ukłonił się jej niezgrabnie, potem niezgrabniejszy jeszcze ukłon

posłał w kierunku Wandy, i oblał się cały szkarłatnym rumieńcem.

Był to Kazimierz, brat panny Sabiny.

Najmniej bystry spostrzegacz, odgadłby z tego rumieńca, że dla młodego poety jedna z tych dwóch panien jest owym sfinksem, który ma mu drogę życia wskazać.

Ale która?..

W lasku miejskim było gwarno. Około stu osób zapełniło polankę i rozsypało się po ścieżkach. Przeważały jasne ubrania i słomiane kapelusze.

Tu grano w *cerceau*, tam w „kotka i myszkę," owdzie grono stołecznych mieszczuchów chłodziło się piwem, rozmawiając o polityce. Na kraju lasu, młodzieniec z kozią bródką, w długim tużurku, zapiętym mimo gorąca na wszystkie guziki, śpiewał „Szumią jodły," echo powtarzało pieśń, której tony najwyższe wyraźnie drżały wśród liści. Siedząca nieopodal, na ściętym pniu, nieco nadwiędła blondynka „zjadała oczami śpiewaka."

Na składanych stołkach rozsiadło się grono starszych pań. Chude, sztywne podlotki stały przy matkach, spuszczając oczy ile razy spojrzał na nie przechodzący mężczyzna. Gromada kilkoletnich chłopców tarzała się po trawie, wspinała na drzewa i czubiła ze sobą, wydając nieludzkie krzyki.

Nareszcie w najustronniejszej stronie lasku, przechadzało się kilka panien trzymając się za ręce, rozmawiając ze sztucznem ożywieniem i wybuchając co chwila głośnym, wymuszonym śmiechem. Panny te udawały, iż wcale nie widzą przypatrujących się im młodzieńców, i że z nich sobie nic a nic nie robią.

Była to „lipcówka," składkowa zabawa, której formę przyjęli X-anie od sąsiednich niemców. Za rubla otrzymywał każdy uczestnik wódkę, piwo, wodę sodową, zimne przekąski, i gorącą herbatę *à discretion*, przytem tyle świeżego powietrza ile go mógł zmieścić w wązkie lub szerokie piersi.

Papa Dalewicz, kręcący się nieustannie w pobliżu wiktuałów, był w dobrym humorze. Zapłacił od trojga osób tylko dwa ruble (przemycając Wandę w charakterze „dziecka,") obliczał zaś, że to, co sam zjadł i wypił, więcej było warte. Trzy ostatnie guziki u kamizelki miał rozpięte, dla wypuszczenia na wolność melonowego brzuszka.

Za to żona była w usposobieniu kwaśnem jak ocet. Trapiły ją trzy rzeczy: odcisk na lewej nodze, nowa suknia podsędkowej, i potargane włosy córki, którą młodzież widocznie omijała. Była wściekła na Wandę za jej twarz bez rumieńca, za wygniecioną bluzkę, i brak ożywienia. Wszystko to mniej raziło w domu, tu jednak, na tle powszechnej wesołości i zabawy, wydawało się prawie — plamą.

Ale Wanda tego nie odczuwała. Zajęta jedną myślą, dążąca do jednego, wysoko umieszczonego celu, była całkowicie obojętną na otaczające ją drobnostki.

Przechadzała się po polance z panną Sabiną, rozwijając przed nią swe projekty. Postanowiła wyjechać na studya najpierw do Warszawy, potem zagranicę. Nie była jeszcze zdecydowana czemu poświęci się wyłącznie; w każdym razie wybierze albo nauki przyrodzone, albo matematykę. Być może także, iż poświęci się specyalnie astronomii.

— To jeszcze nowe, nie wyzyskane, i nie spospolitowane—mówiła, brwi ściągając.—Nie lecą tam jeszcze wszystkie owczym pędem, jak do medycyny. Tam jeszcze można zabłysnąć.

— I medycyna jest pięknym zawodem — wtrąciła panna Sielska. — Nieść ulgę cierpiącym, zagajać rany, wyrywać ze szpon śmierci ojców rodzin, albo ich małe pociechy — to również cel wzniosły i poetyczny. Jest on nawet poniekąd naturalnem powołaniem kobiety.

— Nie o to chodzi — przerwała z pewną niecierpliwością tamta. Medycyną posługuje się wyłącznie karyerowiczostwo. Rzucają się do niej wszystkie głodomory, wiedząc, że zapewnia większy kawał pieczeni, niż inne zawody. Ja, proszę pani, o karyerze nie myślę.

Przeszły potem do szczegółów — obliczały koszta, mówiły o warunkach życia zagranicą. Ile razy od strony bawiących się nadleciał głośniejszy wybuch śmiechu lub krzykliwy objaw wesołości, Wanda milkła i posyłała szalejącym spojrzenie pełne pogardy.

Do rozmawiających przybiegł zdyszany Popiołek. Wymachiwał swą grubą laską, i przesuwał z ramienia na ramię wytartą, spłowiałą zarzutkę.

— Czort zabierz wszystkich waszych filistrów! — krzyczał z gniewem. — Prawdziwe mamuty. Chciał zaśpiewać jednej panience studencką piosneczkę, a ona mnie skonfuziła, i jeszcze poszła skarżyć się papie. Naród u was strasznie dziki!

Przestał, widząc że jego ubolewania przyjmowano obojętnie.

— Eh, Wandziu!—rzekł weselej — rzuć te poważne dyskursa; chodź lepiej do naszego kółka. Znalazł dwóch zuchów i jedną przerozkoszną wdówkę — urządzimy studenckiego kadryla.

Wanda przerwała mu niecierpliwie:

— Prosiłam już brata, żeby nie nazywał mnie Wandzią...

— Ooo!.. a to dlaczego?

— Bo Wandziami nazywają małe dziewczynki, a ja już jestem — duża dziewczyna.

— Jaka znów dziewczyna? Wandzia jest panienka.

— Niech będzie i panienka—ale nie Wandzia, lecz Wanda.

— Odtąd będę mówił: panienka Wanda. No cóż. Dobrze?

W tej chwili obok rozmawiających przeszedł młody Sielski, brat Sabiny, w towarzystwie Skorupskiego, profesora gimnazyum. Ukłonił się Wandzie w dziwnem pomieszaniu, a na śmiejącego się Popiołka rzucił spojrzenie pełne wściekłości.

Siostra skinęła nań. Przystanął, ale ociągał się z nadejściem.

— Kaziu! mam ci parę słów powiedzieć. Przyjdź do nas trochę później.

— Jam tu niepotrzebny — mruknął ze śmiesznem nadąsaniem.—Zresztą... przyjdę — dodał, tragicznym ruchem uchylając kapelusza.

Panna Sabina zwróciła się do studenta.

— Panie Popiołek—rzekła uprzejmie — czy wszyscy słuchacze uniwersytetu są tak weseli jak pan?

Popiołek wystawił zuchowato piersi i brodę.

— Wszyscy, u których jest rozum — odpowiedział.

— Może tylko wszyscy z pańskiego wydziału? Pan zdaje się uczęszcza na prawo?

— Tak, ja prawnik. Ale medyki, przyrodniki, filozofy, to wszystko u mnie kompanja. Nawet dwóch teologów z nami bombluje. Co robić! *Juvenes sumus.*

— A czy to wypadkiem nauce nie przeszkadza?

— Pomaga! przedoskonale pomaga! Bo cóż to nauka? To taka rzecz, którą się zdobywa. Zdobywa się naukę, jak fortecę. Do tego trzeba siły. Kto smutny i skrzywiony, to i słaby, a w nas siła. My bohatery, my— Samsony!

Zacisnął drobne, chude piąstki i wydął maleńką twarz, którą zarost pozornie tylko wypełniał. Był w tej chwili tak poczciwie zabawny, że kobiety nie mogły powstrzymać uśmiechu, w którym jednak nie było ani cienia szyderstwa.

— A studentki?—zagadnęła nagle Wanda.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

Sprawozdania literackie.

G. Hauptmann: Dzwon zatopiony—Baśń dramatyczna, przekład J. Kasprowicza.

Gerhart Hauptmann, autor znanej u nas „Hanusi" należy do najzdolniejszych pisarzy Niemiec współczesnych. Posiada on bogatą, a mglistą fantazyę, cechującą wogóle całą twórczość germańską, ulega w znacznej mierze wpływowi Ibsena, ale ma w talencie swoim i pierwiastki zupełnie oryginalne, niespotykane wcale u autora „Nory." Panteistyczne wczucie się w przyrodę jest jednym z nich.

Fantazya nosząca tytuł „Dzwon zatopiony" zawiera mnóstwo prześlicznych obrazów i scen, w których występują siły przyrody, wcielone w postaci duchów ziemnych i wodnych, bogunek, sylfów, rusałek. A wszystko to nie jest sztucznym bagażem dramatycznym, nie jest dekoracyą, wszystko to żyje, wonieje rosą, srebrzy się mgłami. Oto w noc pogodną, na tany po cichej polanie zbierają się bogunki. W prześlicznym przekładzie Kasprowicza brzmi to, jak następuje:

Pierwsza bogunka.

...Siostro! Księżyc biały
nad urwiste zeszedł skały;
rozsiał blask swój chłodny, siny
na przełęcze, na doliny!

Druga bogunka.

Zkąd przychodzisz?

Pierwsza bogunka.

Tam gdzie mgławy
blask się łamie w skrach siklawy,
gdzie w promieniach fala świeci,
z szumem, z hukiem w przepaść leci—

tam z nocnego wyszłam mroku.
Z tryskających pian potoku
wytrysnęłam, i do góry
przez skaliste wnikłam mury.

Trzecia bogunka.

W tan idziecie, siostry moje?

Pierwsza bogunka.

Podajże nam rączek dwoje!

Druga bogunka.

Zkąd przychodzisz?

Trzecia bogunka.

W krąg bezpieczny,
W krąg się wiążcie, krąg taneczny!
Tam gdzie głazy, gdzie opoki,
staw się chowa, staw głęboki,
w nim lśni gwiazdek rój promienny!
niby klejnot drogocenny,
z tego stawu wyszłam łona...
moja suknia wysrebrzona:
wnet sukienkę srebrną zwinę,
i w miesięczną tę godzinę
nad przełęcze, ponad szczyty,
przywionę tu przez błękity!

Czwarta bogunka.

Siostry!

Pierwsza bogunka.

Siostry! dalej w tany!

Wszystkie razem.

W krąg rozwiany, rozszeptany!

Czwarta bogunka.

Od tych łąk, co kwitną kwiatkiem
Oderwałam się ukradkiem.

Pierwsza bogunka.

Wijcie, wiążcie wy się w tany!

Wszystkie razem.

W krąg rozwiany, rozszeptany! i t. d.

Bogunki, sylfy, symbolizują poetyczną stronę przyrody; wodnik, kozodój, duchy wód, lasów, gór, uosabiają jej strony brutalne, zwierzęce. Na tle tego życia przyrody rozwija się dramat ducha i serca ludzkiego.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Ze spraw kobiecych.

W bieżącym miesiącu otwarto w Berlinie wystawę racyonalnego ubrania kobiecego. Inicyatorką tego godnego uznania przedsięwzięcia jest pani Puchhamer, założycielka związku, mającego na celu reformę stroju kobiecego i jego przystosowanie do wymagań hygieny i wygody—nie wykluczając rozumie się estetyki zewnętrznej, albo jeśli kto woli—stylu.

Niedawno istnieje ten związek, a już ma on za sobą zasługę niewątpliwą, choćby dlatego, że raz przecie zakwestyonował wszechwładztwo krawców i modystek—raz nakoniec dał w tej sprawie głos nauce także, i zdecydował się liczyć z jej wskazaniami. Wystawa obecna jest drugą z rzędu; pierwsza miała miejsce w roku 1897. W obradach nad zmianami koniecznemi, projektowanemi w ubraniu przez uczestniczki wystawy minionej, wzięto pod uwagę kwestye zasadnicze, i uderzono odrazu na to, co dotąd mimo ostrzeżeń lekarzy uporczywie się utrzymuje, zwyradniając całe pokolenia kobiet, odbierając zdrowie przyszłym matkom już w epoce początkowego rozwoju ich organizmów. Zgadują czytelniczki zapewne, że pierwsze miejsce, jako podsądna w tym długim akcie oskarżenia, zajęła sznurówka. Niestety, nie widzimy jeszcze dotykalnie, aby jej panowanie było skończonem; nie mamy nawet do zanotowania takich przekonywających faktów, któreby wskazywały, że sprawa w umyśle kobiecem stanowczo odmiennie przedstawia się dzisiaj, niż przedstawiała dotąd. Zapoznanie kobiet z konkretnymi dowodami ucisku gorsetu na płuca, wątrobę i organa trawienia, jest jak się pokazuje, niedostatecznem. A przecież rozwieszone tablice z odbiciami płuc przybierających pod tym pancerzem wprost odmienny kształt od tego, jaki chciała mieć przyroda, łatwe do pojęcia utrudnienie, wskutek tego oddechu i prawidłowych funkcyi serca, powinnyby przemówić do przekonania kobiety dojrzałej i oświeconej. W tych wypadkach, gdzie mamy do czynienia z niedojrzałemi, albo nieoświeconemi, nie chcielibyśmy przypuszczać samodzielności ich czynów, bo samodzielność taka równałaby się oczywiście upoważnieniu do systematycznego choć powolnego samobójstwa.

W summie biorąc, co się tyczy sznurówek, gorsetów wraz ze wszelkiemi ich modyfikacyami, to kampanii rozpoczętej przeciwko nim, za wygraną dotąd uważać nam nie wolno. Dlatego też to, co nie dało się osiągnąć przez rozumowanie i argumenty, powierzyćby chyba należało w dalszym ciągu do przeprowadzenia modzie. Może jej głos uznany będzie przez kobietę za najpoważniejszy, i może nadejdzie wreszcie ta chwila, w której kobieta wcięta w pasie na podobieństwo osy, przestanie czynić zadość wszelkim wymaganiom dobrego gustu i estetycznego wyglądu. To też zadanie takie powinien na siebie wziąść związek, mający na celu reformę w ubraniu kobiecem, i tem się on właśnie ogółowi zasłużyć powinien. Co prawda w niczem taki tryb postępowania przypominać nam nie będzie, że mamy do czynienia z kobietą naszego kończącego się stulecia, która tak bardzo się różni od poprzedniczki swojej. Owszem taktyka tego rodzaju, praktykowana zresztą przez pedagogów bardzo pośledních, polega na ozłoceniu dziecku gorzkiej pigułki kłamstwem czy wybiegiem, co jeżeli niekiedy usuwa na razie samo złe, za to jako metoda na zalecenie wcale nie zasługuje. Jak tam już wreszcie będzie tak będzie—czy przemówimy do rozumu i przekonania, czy użyjemy fortelu, byleśmy z ubrania kobiet zdołali wyrzucić sznurówkę, to i tak będziemy mieć prawo pomieszczenia tej reformy między najważniejszymi tryumfami naszego wieku. Niechaj tedy apostołują w dalszym ciągu lekarze hygieniści, niechaj dadzą się przekonać matki rodzin o konieczności reformy, niechaj związki i komitety wystawowe wezwą w pomoc artystów-malarzy, ci niech stworzą nowy wzór wdzięku i gustu, polegający na zachowaniu w naturalnym kształcie tego, co dała kobiecie przyroda, a może z czasem moda na skutek takich zjednoczonych usiłowań, da się zmiękczyć i obdarzy nas nakoniec ubiorem jakimś normalnym, w którym wykluczonym będzie gorset stanowczo. Wówczas pokłoni się i mężczyzna przed tą panią wszechwładną, a nikt z uczestników tego dzieła nie będzie sobie robił wyrzutu za to, że się oportunistycznie i podstępem zabrał do wprowadzenia go w życie.

Po gorsecie, który zwalczonym być ma stanowczo wedle programu, krytykowanym jest sam krój sukien, dzięki któremu cały ciężar zamiast spoczywać na ramionach przeniesiony jest na biodra.

Obecna wystawa ma dwa działy główne; pierwszy z nich zawiera bieliznę i kostyumy zwierzchnie—w drugim, hygienicznym pomieszczono w odbiciach zboczenia organizmu powstałe z nieracyonalnego ubrania.

Dla naszego świata kobiecego wystawa taka nie powinna przejść bez obudzenia interesu, przedewszystkiem dlatego, że z pewnością wszelką mielibyśmy ztamtąd niejedno do skorzystania, a następnie powinna nam ona nasunąć myśl stworzenia czegoś analogicznego na własnym gruncie. Nie kopii, broń Boże—nie naśladownictwa, ale musiałoby to być coś zupełnie odpowiedniego do naszych potrzeb, warunków klimatu, zamożności i upodobań estetycznych, a z punktu hygienicznego zapatrywania na te sprawy, uwzględnićby należało panujące u nas cierpienia, wiek dojrzałości kobiety, i wszelkie szczegóły budowy i właściwości jej organizmu.

Rozpatrując się we wszystkiem, co pod tym względem przyniosła światu cywilizacya, koniecznie przyznać musi każdy, że strój powszechny czyli kosmopolityczny, jest nonsensem zupełnym, i że wszędzie jeden tylko lud przechowując właściwy ubiór narodowy, ma za sobą słuszność zupełną. Na całym naprzykład obszarze europejskim widzimy inaczej ubraną ludność góralską, aniżeli mieszkańców równin — inaczej nosi się rolnik, a inaczej rybak okolic nadmorskich. Ze względu na warunki klimatu, takie olbrzymie przecież zachodziły ongi różnice między strojem Szkota i Irlandczyka, Szweda i Włocha, Hiszpana i Polaka, że zdumiewać się przychodzi w istocie, jakim sposobem ten strychulec cywilizacyi zdołał w warstwach najoświeceńszych zniwelować je wszystkie doszczętnie. Powie nam kto może, że cywilizacya koncentrując się w wielkich miastach, nie potrzebowała się ze strojem krępować tak dalece warunkami klimatu, i że ten, kto nie żyje z przyrodą w bezpośredniem zetknięciu, nie jest zmuszony ulegać jej tak, jak ulega człowiek wystawiony na wszystkie jej surowości i wpływy ujemne. Odpowiedź na to nie stawia nas w żadnym kłopocie. Żyjemy w miastach — to prawda, ale stosunek między potrzebami ubrania dla rolnika oboj-

ga Sycylii a rolnika szwedzkiego będzie ten sam zupełnie, który obowiązuje w drodze porównania mieszkańców Neapolu i Sztockholmu. I obowiązuje on w istocie w ubiorze, ale tylko lud — miasta prawie doszczętnie są zrównane ze sobą pod tym względem.

Brak u nas statystyki chorób piersiowych w naszym nawet obecnym okresie czasu, a o retrospektywnej statystyce, jako materyale do porównań, mowy nawet niema, przekonani jednak jesteśmy, że odkąd porzuciliśmy nasze przewidujące i odpowiednie do warunków klimatu ubrania zimowe dla kobiet, odporność nasza na cierpienia płuc nie zwiększyła się bynajmniej. Było może mniej pięknem, to co noszono wówczas, niż to, czem się posługuje kobieta dzisiejsza, a więc niech będzie najpiękniejsze, najozdobniejsze i najmilej wpadające w oko, skoro tak wiele ma na tem zależeć, ale niechaj nie będzie w rażącej sprzeczności z naszą zimą mroźną, wczesną jesienią błotnistą, i zdradzieckimi prawdziwie miesiącami naszej rzekomej wiosny.

Jednem słowem do wystawy stroju kobiecego w Warszawie zachęcalibyśmy bardzo gorliwie, z warunkiem uwzględnienia w niej działu strojów ludowych. Byłyby może z tego dwa naraz pożytki. Z jednej strony my byśmy coś niecoś dowiedzieli się od nich— z drugiej oni przestaliby prawdopodobnie małpować nas z taką gorliwością jak dotąd.

S.

Robert Grant.

Klub Kawalerów.

tłómaczyła E. L.

(Dokończenie.)

Ben miał ochotę skakać z radości i udusić w uściskach tego, który czynił go posiadaczem 13,500 dolarów, potrafił jednak zapanować nad sobą, i z doskonale udaną serdecznością winszował Horacemu. Ależ tak, cieszy się bardzo; niema nawet potrzeby mówić o tem. Potrząsał ręką Horacego, i naraz obaj śmiać się zaczęli.

— Wygrałeś więc, stary—mówił Wilson— ale kpię sobie z tego. Jestem bardzo szczęśliwy! Ona jest prawdziwie uroczą.

— Wierzę ci zupełnie, i życzę niezamąconego niczem szczęścia.

— Czy znasz ją, Benie?

— Nie. Raz ją tylko widziałem we drzwiach domu Edmunds'a, a nawet nie tyle ją, ile wstążki jej kapelusza. Od tej jednak chwili zacząłem cię podejrzewać.

— Naprawdę? Jerzy jest zacny człowiek, ale niech go dyabli wezmą, jaki był nieznośny. Nie chcąc, abym stracił pulę, starał się mnie przekonać, że dosyć będzie czasu pomyśleć o małżeństwie wtedy, gdy upłynie lat dwadzieścia od założenia naszej spółki. Szczęściem żona jego i ty, Benie, przeciwdziałaliście jego wpływowi. Jeżeli nie jedno, to drugie dodawało mi bodźca, wreszcie wziąłem na odwagę i oświadczyłem się. Tobie chodziło o pulę, Benie, wiedziałem to dobrze, niemniej jednak jestem ci wdzięczny równie jak Wirginii Edmunds. Mam teraz cel w życiu, i pieniądze wydają mi się mało znaczącą rzeczą. Ożeń się, Benie, ożeń jak najprędzej!

— Może rzeczywiście ożenię się kiedy — rzekł znacząco Ben, uniesiony zapałem Horacego, gdyż uważał już teraz za zbyteczne zachowywać ostrożność. — W tym roku więc ja sam tylko wzniosę toast na cześć życia kawalerskiego. Ale może to będzie po raz ostatni, bo mówiąc szczerze i ja mam pewne plany.

— Nie zwlekaj tylko Benie. Gdybyś wiedział, jak jestem szczęśliwym! Lecz nie chcę cię dłużej nudzić. Jerzy mówi, że jestem nudny jak lukrecya.

— Nie powiedziałeś mi jeszcze, jak się nazywa twoja wybrana?

— Florencya Delaney. Czy przypominasz sobie dzień, w którym spotkaliśmy się na kolei, w pociągu idącym z Filadelfii. Właśnie jeździłem wtedy do niej.

Ben popatrzał na Wilsona z jakimś dziwnym wyrazem, wreszcie rzekł na pozór spokojnie:

— Piękne ma imię!

— A co więcej, zachwycającą jest kobietą!

— O tak!—potwierdził Ben.

— Zdawało mi się, że jej nie znasz?

— Owszem, przypominam sobie, że ją widziałem. Jesteś istotnie najszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem.

Horacy spojrzał na niego, zdziwiony trochę jego powagą i chłodem.

— Biedak — rzekł sobie w duchu — myśli pewno o tem, że dyabelnie smutna rzecz jest zostać starym kawalerem. Nie chcę mu już więcej tego przypominać.

Pozostał jeszcze chwilę, dopóki nie wypalił cygara. Gdy odszedł, Ben siedział długo pogrążony w myślach, z twarzą ukrytą w dłoniach. Jakaż fatalność sprawiła, że nie poznał jej owej niedzieli przed drzwiami mieszkania Jerzego Edmunds'a! Przypomniał sobie słowa Horacego, zachęcające go do ożenienia się jak najprędzej, i uśmiechnął się gorzko ze swojej porażki, choć oczy jego pełne były łez. Widać przeznaczenie chce, aby został kawalerem do końca życia. Lata będą mijały, a wilia Bożego Narodzenia zastanie go zawsze tak samotnym jak dzisiaj.

Jakże był niedorzecznym! Roztropność! Przezorność! Oto, jak mu były one użyteczne w kwestyi miłości. Zdawało mu się, że te dwa wyrazy napisane ognistemi głoskami, przesuwają się ciągle przed jego oczyma.

Wygrał pulę, ale co mu teraz po niej? Jak marnym, nędznym okazał się rachmistrzem! Sam, dobrowolnie, zmarnował szczęście całego życia!

Długo mierzył pokój szerokimi krokami, a gdy się wreszcie położył, nie mógł usnąć. Nazajutrz, gdy się obudził, ranek był piękny, słońce świeciło jasno, a śnieg iskrzył się w jego promieniach. Był to dzień Bożego Narodzenia. Ben nie miał ochoty iść do nikogo ze znajomych, udał się więc do klubu, gdzie zjadł śniadanie, i część dnia przepędził. Przyszedłszy do domu napisał list, poczem uczuł się spokojniejszym.

Następnego dnia wstał raniej, niż zwykle, bo miał ważny sprawunek do załatwienia. Kiedy wszedł do sklepu jubilera, było jeszcze tak wcześnie, że subjekci przecierali dopiero zaspane oczy.

— Proszę, aby ta paczka była odniesiona jak najprędzej pod wskazany adres. Jestto podarek gwiazdkowy, który zapomniałem przed Świętami kupić — rzekł do subjekta, odłożywszy upatrzone już oddawna brylanty.

W godzinę później, gdy Horacy Wilson i jego narzeczona siedzieli na małej kanapce, w salonie mistress Edmunds, weszła służąca, i wręczyła miss Delaney spory pakiecik. Miss Florencya podniosła się żywo, i z ciekawością zaczęła oglądać paczkę, która zawierała prawdopodobnie jakiś spóźniony prezent gwiazdkowy.

— Gubię się w domysłach, od kogo to może być—szepnęła.

W tej chwili spostrzegła dołączony do paczki bilecik i otworzyła go.

— Jakże to uprzejmie z jego strony — rzekła przebiegłszy kartkę oczyma, więcej wzruszona, niż się można było spodziewać.—To od pana Benjamina Davis — dodała, podając bilet Horacemu.

— Od Bena? Nie wiedziałem, że się znacie.

— Ależ tak, mój drogi, i dobrze się znamy. Nawet...—zaczęła miss Delaney, ale nagle zatrzymała się, roześmiała z pewnym przymusem, i zaczęła spiesznie odwiązywać paczkę.

— Co mówisz?—spytał Horacy.

— Nic już, nic.

Potem z nagłem uniesieniem radości zawołała:

— Patrz Horacy! patrz. Ależ to są dyamenty! prawdziwe dyamenty. Czy widziałeś coś równie wspaniałego!

Horacy patrzył prawie osłupiały z zadziwienia.

— Dyamenty! Czy być może?

Po chwili jednak wyraz radości znikł z pięknej twarzyczki miss Delaney — z niepokojem spojrzała na narzeczonego.

— Nie rozumiem doprawdy, dlaczego przysyła mi dar tak kosztowny—rzekła.—Te dyamenty są przepyszne, ale nie wiem, czy wypada mi je przyjąć, jak sądzisz Horacy?

— Bezwątpienia, ukochana — odrzekł Wilson tajemniczo. — Rozumiem teraz postępek Bena, który, przyznać trzeba, postąpił bardzo szlachetnie. Muszę odbyć przed tobą małą spowiedź i wytłumaczyć ci wszystko. Ben i ja należeliśmy do klubu kawalerskiego, i postanowiliśmy wcale się nie żenić, ale kiedy poznałem ciebie, postanowienie moje prysło, jak bańka mydlana.

Tu Horacy opowiedział całą historyę ich spółki i kończąc, rzekł:

— Widzisz więc, najdroższa, że Ben, poczciwy chłopiec, wygrawszy całą pulę, chciał tym sposobem podzielić się ze mną.

— Rozumiem — odrzekła Florencya, która wysłuchawszy z zajęciem jego opowiadania, widocznie była zmieszana, bo przeczuwała, że inny był powód uprzejmości Ben Davisa.

Horacy jednak nie zauważył jej rumieńców, gdyż odczytywał list przyjaciela, bilecik krótki i konwencyonalny. Zawierał on słowa następujące:

„Droga miss Delaney! Czy zechcesz pani wyświadczyć mi tę łaskę, i przyjąć załączone klejnoty wraz z najserdeczniejszemi życzeniami szczęścia w przyszłym związku? Winszując wesołych Świąt, pozostaję prawdziwie życzliwym przyjacielem i sługą.

Benjamin Davis".

Rzecz naturalna, że fakt przysłania dyamentów nie został utajony przed Jerzym Edmunds i jego żoną. Gdy Horacy wyjął naszyjnik z pudełka, i pokazywał go mistress Edmunds, ta rzekła niedbale.

— Teraz, kiedy wszystko pomyślnie się załatwiło, muszę ci się przyznać, panie Wilson, że była chwila, w której obawiałam się, aby Florencya nie przyjęła Ben Davis'a.

— Co pani chcesz przez to powiedzieć? — zawołał nasz bohater tak zmięszany, że o mało nie upuścił na ziemię drogocennych kamieni.

— A więc, dowiedz się pan, że to on był owym „drugim", którego się tak lękałam, chociaż nie chciałam tego okazać. Ja sama z początku nie wiedziałem, że p. Davis był pańskim współzawodnikiem, ale gdy dowiedziawszy się o tem przed kilku tygodniami, nakłaniałam go, aby cię naglił do ożenienia się z kobietą, którą kochał, doznałam takiego uczucia, jak gdybym zły czyn spełniła. Było już jednak zapóźno, aby się cofać. Ale co znaczy ten dziwny wyraz twarzy, panie Horacy? Byłam pewna, że Florencya wszystko ci już opowiedziała.

— Dodałaś pani jeszcze kilka drobnych szczegółów — rzekł Horacy z goryczą.—Teraz żałuję, że pozwoliłem Florencyi przyjąć dyamenty od Bena.

— O! nie będziesz pan przecież tak okrutnym, aby odbierać dar, który pozwoliłeś już jej zatrzymać. A przytem byłoby to niedelikatnością względem pańskiego przyjaciela. On rzeczywiście postąpił bardzo szlachetnie.

— Może ma pani słuszność, niechże więc i tak będzie. Biedny chłopak! szczerze go żałuję. Muszę i ja ze swej strony okazać się wspaniałomyślnym.

Utwory Powieściowe

Stefana Żeromskiego.

1898.

SPRAWOZDANIE.

(Ciąg dalszy).

Niezmiernie tu wiele prawdy żywotnej, i rzeczywisty dla kobiety drogoskaz w pewnych okresach jej życia stanowićby mógł krótki szkic, noszący tytuł „Tabu."

Wiadomem jest zapewne czytelniczkom szanownym, że obce to brzmienie oznacza u ludów niektórych świętość, nietykalność — to co koniecznie poszanowanem być musi. Otóż i sfera uczuć kobiecych ma swoje *sanctissimum*, swoje *tabu* prawdziwe, na które mężczyźnie targnąć się bezwarunkowo nie wolno. Czy on świadomie lub nieświadomie przekroczy granicę, czy brutalnie ją sponiewiera, czy degradacyą własną obniży się w przekonaniu kobiety do tego stopnia, iż ona straci przekonanie co do tożsamości jego osoby w porównaniu z tą, która jej była niegdyś drogą — wszystko jedno. Umarły żyć może w sercu nazawsze — poniżony czy obniżony w człowieczeństwie swojem traci odrazu wszystkie dawne prawa, nawet u tej, którąby siostrą miłosierdzia dozgonną być umiała.

Wielka, żywotna, niezaprzeczona prawda! — posłuchajcie, jakie jej kształty życiowe nadał Żeromski, a zawsze on po swojemu tego dokonywa, zawsze na kilku stronnicach rozwiązuje cały problemat ogromny.

Z pociągu na stacyi jakiejś podrzędnej wysiada kobieta. Młoda jest, piękna, a tyle smutku ma w oczach, tyle niepamięci dla wszystkiego co ją otacza. Taką ona musiała być w chwili, gdy stojącego przed dworcem furmana zapytuje o cenę za przejazd do szpitala. Ten szpital, czytelniczki, to najsmutniejszy ze schronień tego rodzaju — to Tworki czy Kulparków jakiś, a sądząc z narzecza, którem do przybyłej przemawia woźnica, Kulparków z pewnością. Ma tam więc w tem piekle Dantejskiem kogoś blizkiego — najbliższego nawet — męża. Stan jej duszy zrozumieć łatwo.

Po przybyciu do zakładu, objaśnia ją szablonowo młody doktorek o stanie zdrowia pacyenta czy delikwenta. Mówi o tem ze spokojem i bezkłopotliwością codziennego przed rodzinami chorych referenta, opowiadając o stanie umysłu tych, którzy wszyscy razem wzięci, naprawdę tak mało go obchodzą. Co do tego, o którym zasięga w tej chwili wiadomości pani Ewa, to oznajmia on, że będzie go mogła widzieć, ale krótko, bo on jeszcze bywa rozdrażniony, więc tak, najprzód w obecności lekarza, następnie on wyjdzie i zostawi ich samych, ale będzie czuwał na korytarzu; gdyby tylko pacyent głos podnosił, wejdzie natychmiast.

Staje się tak jak rozporządził. Henryk Dąbrowski, bo tak się nazywa chory, wprowadzony jest do gabinetu codziennego swego gościa—doktora.

Przybycie tej kobiety nie robi na obłąkanym żadnego wrażenia. Ze swoim wyglądem skończonego tabetyka, chodzi mimo tych obojga i zmienionym przez gorączkę głosem, mówi do siebie, że Jastrzębowski napisał agronomię, a on myśli o napisaniu cebulonii altruistycznej... Zaraz potem ukazuje tej, którą nazywa ślubną żoną swoją, skórkę sera ogryzaną łakomie, a na wezwanie doktora, aby powitał przecież przybyłą, odpowiada:

I być strażnikiem grobów, które proszą,
O łzy i miłość. I być tylko cieniem,
Którego skrzydła anielskie unoszą
Między nicością i grobów marzeniem...

No, stan rozpaczny jednem słowem! Doktór pocichu opuszcza pokój, a ci niegdyś najbliżsi sobie, zostają sami. Czas jakiś biega on jeszcze po pokoju, artykułuje jakieś wyrazy bez związku, między tymi natrafia na jeden, który wymawia tak jak każdy inny, zrazu; Ewunia, Ewunia! powtarza po kilkakroć.

To go jednak doprowadza do względnej przytomności; to brzmienie, niby echo życia zapadłego poza nim w przepaść, ma resztki swojej władzy nad jego duszą zchorzałą. Uspokaja się pod jego wpływem, siada nawet przy żonie na kanapie.

To jej wskazuje po co przybyła tutaj. Więc poczyna mówić do niego—odgrzebywać z pod tych popiołów resztki utraconej świadomości, łagodzi szał jego myśli, probuje ukoić cierpienie i rozpacz. Któraż to z rzędu próba tej nieszczęśliwej?

I teraz jeszcze przyciska głowę jego do piersi, i przemawia głosem natchnionym:

— Henryku! Posłuchaj uważnie, Henryku! Powiedz mi, co tobie jest? Co tobie się wydaje? Powiedz to wyraźnie, żebym ci mogła wytłómaczyć. Namyśl się—zobaczysz, że ja wyleczę ciebie,

On milczy, patrzy w ziemię i wykonywa dziwaczne jakieś ruchy.

— Ty się boisz ciągle — zaczyna znowu.— Nie lękaj się; przy mnie nic ci się nie stanie.

— Wezmą mię—znowu mię wezmą!—odpowiada ta ruina człowieka.

Jeszcze zaklęcia ponawia, jeszcze mówi tym samym głosem pieszczonym, ktorym mówiła niegdyś. — Przepaści dzielą ją od tych chwil..

A on, to milczy uparcie patrzy szklistym wzrokiem przed siebie, to znowu zrywa się i powtarza swoje: „Wojciech Jastrzębowski napisał...

Siły ją opuszczają, bo widzi, że wszystko daremne.

Znowu bierze tę rozpaloną głowę w ręce, a łzy płyną jej potwarzy, i cała otchłań zmarnowanego życia staje na oczach, i tak myśli, myśli...

Naraz czuje, że on ją trąca ręką... Czego chce ten biedak?... Spojrzała mu w oczy.. odsunęła od siebie ze wstrętem.

W jednej chwili była na korytarzu.

To była z pewnością kobieta, która umiała kochać, umiała nadto cierpieć i wytrwać, ale nie umiała się pogodzić z myślą poniżenia swojej istoty.

Gdyby cierpiał latami jak cierpi, służyłaby mu wiernie, płacąc życiem za dni obustronnego szczęścia, ale nie starczyło jej sił na zetknięcie się z istotą, w której zwierzę przeżyło świadomość całą i wszystkie uczucia.

Oto kres wytrzymałości kobiety, jeśli ona kobietą jest naprawdę — oto granica dla jej ofiarności i poświęcenia.

Uszanujmy to wnętrze moralne towarzyszki naszej, to jej pełne godności ja, to *tabu*, jak chce mieć autor—bez niego byłaby tylko niewolnicą.

Kończy tom obszerniejsza praca, rosząca tytuł „Promień". Jest to już prawie powieść rozmiarem; wątek jej snuje autor z życia współczesnego, nadając utworowi dosadne zabarwienie stronnicze, tego samego zresztą odcienia, który spotykamy niezmiennie we wszystkich jego dziełach.

Jan Raduski człowiek blizko czterdziestoletni po latach jedenastu zgórą powraca do kraju. Studentem uniwersytetu był, gdy zmuszony przerwać studya opuścił kraj na czas tak długi. Dużo się zmieniło pod jego niebytność, a dla niego osobiście wszystko prawie. Rodzice w grobie, wioska, w której się wychował w obcych rękach, koledzy, przyjaciele, rówiennicy rozpierzchnięci po świecie. On czuje, że wraca tym samym człowiekiem, który ongi wyjechał — co zastanie, nie wie i nieprzeczuwa. Ciągnie go coś jednakże ku stronom rodzinnym, a że w gnieździe niegdyś własnem niema już dlań miejsca, więc mija z pośpiechem Warszawę i zdąża do Łżawca—nie miasteczka, a miasta niby jakiegoś gubernialnego, o czem przekonywamy się z tego, że są tam sądy, istytucye, lekarze, urzędnicy, a nadto i dwie gazety wychodziły w onym Łżawcu przed niedawnym jeszcze czasem. Obecnie jedna z nich upadła — druga utrzymała się i kwitnie. Zbytecznem byłoby mówić iż tą, która po krótkim, a burzliwym zapewne, istnieniu dokonała przedwcześnie żywota, była pismem postępowem.

Nieuprzedzając wypadków, powiemy mimochodem, że ów Raduski, który na obczyznę wyjechał biednym, powrócił dzięki spadkowi po wuju, średniej zamożności człowiekiem, że zatem instalując się w tym Łżawcu, będzie mieć ręce wolne i prawo wyboru zajęcia. Przybywa koleją żelazną; jak entuzyasta prawdziwy wyciąga ramiona do każdego domku i do każdego płota, który spotyka — ot zwyczajnie jako taki, który tutaj do szkół uczęszczał, a teraz po jedenastoletniej tęsknocie nie może się nacieszyć wspomnieniami. Pociąg przywiózł go w nocy, więc przystaje po za oknami domków przedmieściowych, patrzy, szuka, i oczywiście znajduje nędzę dawną, zwiększoną przez nowe przewroty. Niebawem spotyka i inne jeszcze objawy, które go zdumiewają. Błądząc po ciemnych zaułkach opadniętym zostaje przez bandę rabusiów, dostaje w głowę kilka zdrowych uderzeń pałki, wraz z propozycyą oddania tego, co ma przy sobie, a że pan Raduski odmiennie widać pojmuje prawo własności, więc się broni, strzela, rozpędza, niemniej zdaje sobie sprawę z tego, co go w jego dawnych progach oczekuje, jeśli się w tym kierunku wszystko tutaj potoczyło.

W jakimś hotelu prowincyonalnego typu poznaje w osobie portyera dawnego zamożnego kupca korzennego, a że trafił właśnie na Święta Wielkanocne, i wszystkie restauracye zastaje zamknięte, więc korzysta z gościnności tego człowieka—poczciwiny jakiegoś, niebardzo mądrego co prawda, który mu opowiada o zmianach, jakie znajdzie w Łżawcu, o ludziach, wydarzeniach i ruinie własnej. Po tych informacyach przedwstępnych, mając ochotę zbliżenia się do ludzi, i dowiedziawszy się, że mieszka tu jego niegdyś kolega, obecnie bardzo wzięty adwokat Koszczycki, idzie mu złożyć wizytę. Mieszkali razem za czasów studenckich i byli, jak to się mówi w wieku młodym — przyjaciołmi. Bardzo nieprzyjemna oczekuje tutaj metamorfoza na Raduskiego. To nie tamten entuzyastyczny chłopiec, którego znał kiedyś, wita go teraz u siebie, a i to powitanie samo jakież ono szczególne... Zrazu niby kilka słów serdecznych wyrywa się panu adwokatowi, następnie na samo wspomnienie kolei, które przechodził kolega tułacz, chłodnie temperatura do kilku stopni niżej zera, potem znowu podnosi się nieco na wieść o spadku, jaki wziął Raduski, a w końcu, aby między nimi nic z dawnego sentymentalizmu nie mąciło na przyszłość stosunku, uważa sobie Koszczycki za obowiązek wyspowiadać się przed przybyłym ze swoich na życie zapatrywań, i swojej metody, którą stosuje w zawodzie adwokackim. Uszy więdną od tych zwierzeń Raduskiemu. Człowiek wedle tego socyologa i biologa, to siedlisko zbrodniczych instynktów, to skrytobójca i fałszerz urodzony. Kłamać albo wydzierać to prawo bytu — po zatem są to tylko marzenia studenckie, niemające nic wspólnego z życiem praktycznem. Rozstają się wzajemnie niezadowoleni z siebie.

Raduski, który nosi się ciągle z myślą służenia dobru publicznemu, wskrzesza ową upadłą gazetę i rozpoczyna walkę z tem, co on i autor uważają jako wstecznictwo, a tem samem tamę do podźwignienia się z upadku. Odnajduje tedy w Łżawcu młodego jakiegoś aspiranta do dziennikarskiej karyery, znakomitego polemistę w zarodku, i z tym pomocnikiem podejmuje walkę z pismem konkurencyjnem. Oczywiście, że wszystkie przewagi etyczne i słuszność cała jest po ich stronie, a tamci strupieszali zachowawcy namalowani są barwami, niezostawiającemi pod względem posępnej czarności nic do życzenia. Pomijając, że walka o zasady pism prowincyonalnych musi koniecznie przypominać Dickensowskie boje „Gazety Etanswilskiej”, z „Etanswilską Niepodległością,” wystawianie takich bateryj na naszym gruncie ma w sobie coś szczególne chybionego w założeniu samem, i żeby nie wiedzieć jak artystycznie było to zrobionem w powieści, zawsze będzie tylko zrobionem, zawsze wysoce naiwnem, i w rezultacie niesmak i zniechęcenie zostawić musi czytelnikowi.

W człowieku takim jak ów Raduski, który z piekiełka w jakiem pozostawał przez lat jedenaście wyniósł wszystkie swoje ideały nienaruszone, pozostać musiała i mękkość cała, i pragnienie zaspokojenia popędów serdecznych. Los rzuca na jego drogę pewną potemu sposobność, osnutą w tragiczne wielce powikłania. Przypadkowo poznaje on kobietę młodą i piękną, która na nim odrazu robi wrażenie potężne. Dowiaduje się od niej samej, że jest ona żoną tutejszego lekarza Poziemskiego, że jej mąż jest ciężko i beznadziejnie chory, a ponieważ ten nieszczęśliwy nawet w cierpieniach swoich przypomniał sobie nazwisko Raduskiego, jako uniwersyteckiego kolegi, więc proszony jest przez żonę ostatni o odwiedzenie dawnego znajomego. Odwiedza Raduski ten dom na drugi dzień zaraz, i zastaje na miejscu dramat, jaki niecodzień w istocie spotkać można. Ten doktor był człowiekiem wielkiej publicznej użyteczności, leczył bez różnicy żadnej możnych i ubogich, i posiadał też dwie odpowiednie klijentele: płatną i bezpłatną. Ponieważ w spełnianiu obowiązków względem tej ostatniej nie znał granic żadnych, przeto sądzonem mu było paść ofiarą swego poświęcenia. Pielęgnując jakiegoś odzieracza skór końskich, dogorywającego na nosaciznę, zaraził się od niego tą chorobą nieuchronienie śmiertelną i oto już od kilku miesięcy jest skazanym na śmierć i opuszczonym przez lekarzy, przyjaciół i dawnych pacyentów, łazarzem.

Autor nie założył sobie wykręcić się, jak to mówią, sianem z tej sytuacyi, więc dał czytelnikowi szereg obrazów tak domonicznie jaskrawych, że nie radzilibyśmy żadnej kobiecie słabszych nerwów brać do ręki tej powieści. Ów Poziemski umiera, a że jest lekarzem, więc wie, że umrzeć musi, i jaka go choroba zabija. Ma nadto przeświadczenie zupełne, że się wywiązywał z ciężarów włożonych na jego barki przez powołanie z całą sumiennością, więc nierozumie za jaką sprawą skazuje go fatalność ślepa na tę mękę—dla czego zchodzi ze świata—dla czego osieroca rodzinę, która dziś już, po sześciomiesięcznej jego chorobie, jest bez środków do życia. Jest to jednem słowom rebelijant przeciw przeznaczeniu, desperat, a nawet, aby ten stan właściwem określić terminem, jest to po prostu potępieniec. Pojmujemy rozpacze tego rodzaju w człowieku pospolitym, i egoiście, ale na żaden sposób niemożemy ich zrozumieć w tym stopniu natężenia u przyjaciela ludzkości, jakim miał być Poziemski. Zostawia żonę, którą, dajmy na to kocha i córeczkę sześcioletnią; rozkłada się za życia i cierpi niewysłowione męki fizyczne, ale przypuściwszy jakiś supertatiw tortury materyalnej i moralnej, jeszcze pojąć nie można sposobu, w jaki sobie ten człowiek płaci za nieszczęście, ktore go spotkało. Ta żona pielęgnuje go już sama jedna, tonie literalnie w tych wstrętach rozkładowego procesu, z których żadnego nieoszczędził autor czytelnikowi, ale ponieważ on ma ją jednę, więc niechajże ona będzie tą jedną, na którą wyleje cały swój jad przedśmiertny. Tyranizuje tedy, ale co to powiedzieć tyranizuje—poniewiera ją, lży, depce po niej, pastwi się nad nią, a ona...? Ona nieustaje ani na chwilę w gorliwości, a mimo to czytelnik nie ma nawet możności zdobycia się dla niej na współczucie, bo mu brak rękojmi, bo ma wątpliwości dla czego tam bywa ten szubrawiec adwokat Koszczycki. Co do troskliwości Raduskiego — w tej nie ma podejrzanego nic, ale tamten... Umiera wreszcie Poziemski, przez parę dni po pogrzebie wdowa i dziecko jego oddychają spokojem, ale po tych paru dniach, zapada ta kobieta, dzięki sześciomiesięcznym staraniom około chorego na owo najzaraźliwsze z cierpień, a skoro jej lekarze powiadają co się z nią dzieje, ona zdobywa się na postanowienie, wskutek którego znajduje ją rano Raduski powieszoną nad łóżkiem.

Okropne — straszne, a co prawda, że i niewypowiedzianie wstrętne jest to wszystko razem. Bo okropne jest życie samo, gotów nam powiedzieć ktoś, kto bierze na siebie obronę założenia. Otóż nie! po stokroć nie! Życie nie jest takiem i byleśmy się dobrze zastanowić chcieli, łatwo nam będzie rozróżnić w tym epizodzie potęgę wpływów ujemnych otaczających człowieka w jego pracach i walkach, od tego, co mu z jego win własnych przyczynia się do zrobienie tego ciężarem niemożebnym.

(Dokończenie nastąpi).

KRONIKA.

Niepocieszająca statystyka.

Student medycyny Uniwersytetu Warszawskiego dokonał trudnej, zmudnej ale pożytecznej bardzo pracy, ogłaszając w październikowym numerze „Zdrowia" dane cyfrowe dotyczące stanu zdrowia i zasobu siły życiowej w pośród naszej młodzieży uniwersyteckiej. Jako drogę do rozstrzygnięcia sprawy, a przynajmniej tymczasowego jej oświetlenia, obrał sobie p. K. kwestyonaryusz rozesłany między kolegów w 500 egzemplarzach, na który odpowiedzi kategorycznych odebrał 300 i wynikiem ich ułożonym odpowiednio dzieli się w obszernym artykule z czytelnikami lekarskiego pisma. Trzysta indywiduów świadomych swojego stanu i opisujących ten stan w odpowiedziach na kwestyonaryusz, to bądź co bądź materyał dosyć znaczny. Otóż z tych odpowiedzi dowiadujemy się:

1-o Że 34% a zatem 100 z górą studentów przyznaje się do odziedziczonej po rodzicach skłonności do chorób piersiowych, suchot, skrofułów, chorób oczu, nerwów i t. p.

2-o Połowa, a zatem 150 na 300 stwierdza różnego rodzaju niedomagania, między któremi najliczniejsze są cierpienia: gardła, krtani i nosa, a 18% czyli 54 skarży na dolegliwości gardlane, płucne jednocześnie i nieprawidłowości w funkcyach trawienia. Tryb życia siedzący i złe odżywianie uważa tutaj autor kwestyonaryusza jako przyczyny główne.

3-o Bólu oczu, wynikającego po większej części z nadmiaru pracy, doświadczało 20% zapytanych, przyczem zauważyć można w tych pozycyach stopniowe zwiększenie się cierpień w miarę przyrostu lat. Zły wzrok wogóle wykazało 41% studentów i większość z pomiędzy nich używa szkieł wklęsłych odpowiednich dla krótkowidzów, a jako charakterystyczne uważa p. K. iż większość już w 18 roku życia posługiwała się okularami.

4-o Zaledwie 9% młodzieży uniwersyteckiej ma zęby zupełnie zdrowe, reszta t. j. 270 z górą mówi o większej lub mniejszej ilości wyrwanych i plombowanych, a braki dochodzą cyfry bardzo znacznej. I tak naprzykład: brak 5 zębów notuje p. K. u 23 studentów—brak 6 u 26—brak 9 u 18 —brak 11 u 16 i t. d. Wogóle wypada z obliczeń, że jednostce brak jest przeciętnowo 6,28 zęba, co w każdym razie nie może być bez związku z całością stanu zdrowia i zasobem siły żywotnej.

5-o 60% objętych kwestyonaryuszem uskarża się na częściejszy lub rzadszy ból głowy, a w tem 17,32% wykazuje jako źródło tej dolegliwości przepracowanie—pozostali zakłócenia w organach trawienia, wzmiankując przytem o nieregularnem i niehygienicznem odżywianiu.

6-o Nakoniec 57% czyli 171 na 300 mówi o zdenerwowaniu, przyczem stan ten wzrasta z wiekiem dochodząc przeciętnowo w 24 roku życia do 66,67%. Wnioski autora kwestyonaryusza oświetlające naukowo te prawdziwie opłakane cyfry mówią o przepracowaniu szkolnem, o balaście przedmiotów wykładanych a zazwyczaj w całej karyerze przyszłej zupełnie zbytecznych, wreszcie o niezmiernem naprężeniu nerwowem, jakie każdy uczący się przebywa rok rocznie w ciągu paru miesięcy egzaminowych. Nie pomija on też milczeniem, że w całym łańcuchu warunków ujemnych niepoślednie ogniwo stanowi brak materyalny trapiący młodzież oddającą się nauce, co się daje sprawdzić wzrostem cierpień towarzyszącym stale ubóstwu środków.

Tak to jest—nie inaczej. W tem mieście zbytkującem i rozswywolonem, ci, którzy zdobywają sobie prawo do bytu przez naukę, są to w wielkim stosunku jednostki okaleczałe przedwcześnie. Jaki stawiać horoskop ich wysiłkom, nie śmiemy przyznać przed sobą nawet, zwłaszcza, że i po zdobyciu kwalifikacyj nowa oczekuje na każdego walka. W każdym razie nie przedwcześnie pomyślała kobieta na sza szukająca pracy samodzielnej, i niepotrzebnie ją głupi i źli o to monitują. Jużciż to nie są ci chyba, którzy mają być podporą i opieką kobiety wyrabiają się w podobnych warunkach

Zdrowie.

Kultura zarazków chorobotwórczych, mimo wszelkich środków ostrożności, jakimi ją otaczać zwykli uczeni, nie zawsze ogranicza się do ofiar zwierzęcych, które jej sposobem próby poświęcają. Oto i teraz w Wiedniu przy szczepieniu śwince morskiej jadu dżumy przywiezionego z Indyi Wschodnich, zaraził się posługacz laboratoryum i rozumie się umarł po niedługich cierpieniach; po nim zapadły koleją dwie inne ofiary. W Wiedniu popłoch niezmierny wznieciło to wydarzenie niefortunne.

Doktór Koch spędził w Rzymie kilka tygodni, gdzie się oddawał badaniom malaryi. Szło, jak donoszą pisma specyalne, o stwierdzenie czy malarya Włoch ma to samo źródło i ten sam przebieg, co malarya stref podzwrotnikowych, z którą dr. Koch ma już być obznajmiony dawniej. Okazać się miało, że i pochodzenie i przebieg cierpień są identyczne zupełnie. Z tego przychodzą Włoscy uczeni do wniosku, że cierpieniu temu można będzie zaradzić zastrzykując w żyły roztwór chininy. Malarya we Włoszech nie jest bynajmniej tem samem co u nas. Jest najprzód, liczebnie biorąc, groźną niezmiernie, na 60 bowiem prowincyi włoskich, 6 tylko jest od niej wolnych, a na przestrzeni 260 kilometrów kwadratowych, spustoszenia robi tak wielkie, iż właściwie obszar ten nie powinien być zamieszkałym. Wogóle w całych Włoszech umiera rocznie na malaryę 4,000 osób z górą.

Ruchome oddziały lecznicze dla chorób ocznych, o których wspominaliśmy niedawno czytelnikom, wchodzą u nas w wykonanie. Zorganizowane one będą przy Instytucie Oftalmicznym, sposobem próby niejako, na lat trzy, gdyż na ten tylko okres czasu dało przyzwolenie swoje ministeryum spraw wewnętrznych. Organizacyą zajmie się komitet złożony z członków zatwierdzonych przez władzę.

Z miasta.

Pisma codzienne prześcigają się w szczegółach i komentarzach odnoszących się do hotelu akcyjnego, który stanie przy rogu ulicy Karowej i Krakowskiego Przedmieścia na terytoryum t. zw. pałacu Tarnowskich. Jużeśmy i my wspominali o tym zbytkownym hotelu, i o wyznaczonym nań konkursie aż międzynarodowym i o rozmaitym nakoniec hotelowym splendorze, którym się w blizkiej przyszłości pochlubić będzie mogło nasze miasto ubogie. Obecnie zaczynają się po dziennikach targi ze spółką kapitalistów o to, dlaczego w tem miejscu ma być hotel, dlaczego temu zajazdowi dają nazwę Bristol a nie Wisła, i dzięki czemu powstanie budowla, która ani przeznaczeniem, ani nazwą nie będzie przypominała tego hetmańskiego rodu.

Osobliwe co prawda żądanie, aby kapitalista krępował się względami przyzwoitości względem rodów hetmańskich, i aby sobie odmawiał nazwania posesyi swojej, Bristolem czy Birminghamem, skoro sobie obliczył, że mu nazwa taka powiększyć może odsetki. Niechajże je sobie mnoży jak mu się tylko podoba, a my przestańmy sobie raz nad podobnemi łamigłówkami mozolić głowę, bo niewiadomo doprawdy jakim sposobem oberża Wisła lepiej harmonizowałaby z tradycyami wielkiego imienia historycznego jak oberża Bristol.

Oberża to oberża.

Zmarli.

W dniu 24 Października zmarł w Warszawie

ś. p.

Henryk Perzyński

Zmarły był założycielem i redaktorem „Dziennika dla wszystkich." Urodzony w roku 1842 po ukończeniu gimnazyum w Radomiu rozpoczął karyerę urzędniczą, ale wraz z otwarciem Szkoły Głównej wstąpił na kursa uniwersyteckie. Przez pewien czas był kierownikiem „Opiekuna Domowego," a następnie współredaktorem „Tygodnika Powszechnego."

Ś. p. Perzyński pozostawia pamięć sumiennego dziennikarza i prawego człowieka.

Wskazówki i rady.

Sucharki żmudzkie do herbaty.

Przepis, który tu podaję, przechodzi wszelkie najwyborniejsze karlsbadzkie i wiedeńskie sucharki, a tem jeszcze przewyższa, że po 6 tygodniach wło żone na trzy minuty w ciepły piec pod blachę, smakują jakby w tej chwili pieczone. Półtora funta mąki, pół funta masła młodego surowego, 8 żółtek i 6 łutów cukru. Pół funta mąki zaparzyć kwaterką mleka gorącego, gdy wystygnie wyrobić to doskonale z dwoma łutami drożdży, rozrobionemi w odrobinie mleka i zostawić aby się ruszyło. Wtedy przyczynić ciasto, lejąc najprzód owe 8 żółtek, rozbitych na pianę z miałkim cukrem, następnie włożyć pół funta masła surowego, odrobinę soli, a w końcu mąkę, i wyrabiać dopóki od łyżki lub ręki dobrze nie odstaje. Postawić znowu w ciepłem miejscu, aby podrosło trochę a gdy się tylko ruszy, robić maleńkie, okrągłe bułeczki, gładkie zupełnie, podwijając ciasto pod spód, aby były okrągłe i równe, układać na blachę masłem posmarowaną, gdy podrosną na blasze, smarować jajkiem rozbitem z wodą, i wstawić do gorącego pieca, jednak nie zanadto, na dziesięć minut. Gdy wystygną, przekrawać bardzo ostrym nożem na pół i jeszcze raz w wolnym piecu podsuszyć. Można także po przekrajaniu przeciągnąć każdy lekko śmietanką słodką i posypać bardzo miałkim cukrem z cynamonem, jednak wiele osób przekłada je bez posypania.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami i do Nr. 43.

Дозволено цензур. ю. Варшава, 14 Октября 1898 г. Warszawa Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca **Jan Skiwski.** **DODATEK.**

Edmund Chojecki.

ALKHADAR

Ustęp z życia ojców naszych.

Tom drugi.

VII.

— Do stu piorunów! drwicie ze mnie, albo też nie wiecie z kim macie do czynienia!.. Koni, i to natychmiast!...

— Stajnia próżna, niech pan hrabia raczy się przekonać. Chyba ludzi moich zaprzęgę.

— Zaprząż Acan i samego dyabła! — wołał Wilczek, wyskakując z powozu — ani chwili dłużej tu nie zostanę. Nie nauczyłem się dotąd czekać, i nie do twojej szopy pójdę po naukę. O co chodzi? o pieniądze?.. Jędrzeju, zapłać mu ile zechce.

— O pieniądze — odrzekł stary poczmajster ze stłumionem oburzeniem, dbam wtedy, gdy mi nie płacą ceny nakazanej prawem. Konie trzymam dla podróżnych; jeżeli ich nie daję, to dla tego, że nie mam.

— Na honor, jest z czego oszaleć! Czy pojmujesz kapitanie? Czy słyszysz Juljuszu? Jegomość ten, jak widzę, piechotą roznosi pocztę! Każe mi oglądać próżne swoje żłoby. Mówże, radź, który z was! co teraz poczniemy? Kontrakta się otwierają; obiecaliśmy być jutro na balu u Lewickich—świece chyba gasić przyjedziem! Niech was piekło pochłonie z waszym porządkiem! Popamiętasz mnie Waszeć; natychmiast za przyjazdem do Lwowa zaniosę skargę.

— Niech pan hrabia każe sobie przynieść regestra; podróżni zewsząd spieszą na kontrakty, dyliżans wyszedł przed godziną; nie ma kwadransa, jak wyprawiłem dwa czterokonne powozy, a dziesięciu minut, jak na obie strony ruszyły sztafety.

— Kiedyż konie z powrotem?

— Może za półtory godziny, a najdalej za dwie.

— Oszalał!... Każ sobie Acan lodu przyłożyć na głowę. Dwie godziny!... dwa wieki czekać przed twoją oborą! Ależ mój przyjemny panie, świętego do wściekłości byś przyprowadził.

Pocztmistrz wzruszył ramionami.

— Poślij pan chłopa na wieś—odezwał się Skałka; dostanie porządny napiwek, jeżeli za kwadrans jakie takie cztery szkapy nam przyciągnie.

— Wieś o pół mili z okładem — odrzekł ekspedytor — konie w polu, u siana; napróżno by panowie czekali.

— Nie, nie, daj pokój kapitanie, widzisz dobrze, że to umyślne postanowienie. Panie poczmistrzu, słuchaj mnie Waszeć — mówił Wilczek, dobywając trzęsącą ręką zegarka, daję ci dziesięć minut czasu; skoro ta oto igiełka stanie na szóstej, powinniśmy być w drodze. Jeżeli nie — pomyślimy co dalej.

W tej chwili rozległ się silny odgłos pocztarskiej trąbki.

Ucichli wszyscy; dochodził ich nawet zdala głuchy tętent kopyt. Juliusz klasnął w dłonie.

— Brawo Władziu!—zawołał—Fortuna cię nie opuszcza; są konie.

Poczmistrz niespokojnie załamywał ręce.

— Cóż ci to?... — rzekł Wilczek trochę udobruchany, żałujesz naszego towarzystwa?

— Daruj pan hrabia — wyjąkał starzec z serdecznym frasunkiem, są konie, ale nie moje; nowa extrapoczta, nowy podróżny!... Słyszycie panowie turkot powozu?

Wilczek zacisnął zęby, nogą w próg gwałtownie uderzył.

— Szatan się przeciw nam sprzysiągł!... Dwie godziny czekać, i potem jeszcze wlec się zmachanymi końmi. Powiadasz Acan, że za żadne pieniądze... uważaj dobrze... za żadne pieniądze... przed dwoma godzinami stąd się nie ruszym?

Wilczek w oczekiwaniu na odpowiedź przechadzał się szybkiemi kroki. Nagle, stanął na rogu domu pocztowego, gdzie droga łamała się w kąt prosty, uskoczył na kilka kroków, pochylił głowę, śledził okiem, oglądał, zwrócił się wreszcie ku poczmistrzowi, i rzekł szybkim głosem:

— Krakałeś złowrogie przepowiednie, które, szczęściem się nie sprawdzą. Juliuszu, obiecałem dostawić cię na bal — dotrzymam słowa. Są konie. Dalej chłopcy, do dzieła!

Skałka podbiegł ku miejscu, zkąd Wilczek wpadł był na szczęśliwe odkrycie.

O kilkanaście kroków, na zakręcie od poczty, przed drzwiami gościnnego domu, stał powóz zaprzężony trzema końmi.

— Zgadujesz mnie, kapitanie.

— Rozumiem; chcesz prosić właściciela powozu o gościnność.

— Trafiłeś jak kulą w płot! Nie widzisz, że konie stoją tyłem do Lwowa?

— Cóż więc.

— Jakto, nie zgadłeś, że podróżnemu nie musi być spieszno, kiedy zatrzymuje się przed nędzną garkuchnią, kiedy pozwala pocztyljonowi z założonemi rękami chodzić koło powozu.

— Pojmuję; spodziewasz się wyjednać na nim dwie godzin cierpliwości.

— Panie hrabio — wtrącił poczmistrz — podróżny, na chwilę przed panów przyjazdem kazał zaprządz i zajechać przed oberżę. Wstąpił posilić się. Od kilku dni jedzie jednym ciągiem. Nie zdaje się mi, aby można co z nim wskórać. Jestto pruski oficer. Według tego, co nam mówił, skupuje konie dla wojska.

— W takim razie, rzecz się ma inaczej — odparł Wilczek z szyderską uległością. Myślałem, że będziem mieli do czynienia ze zwyczajnym człowiekiem, że trzeba będzie wdać się w prośby, ale skoro powiadasz, że człowiek ten jest oficerem, i do tego pruskim oficerem, położenie się odmienia. Ubywa nam zachodu. Dalej chłopcy!... co żywo, odprządz konie, dwa dukaty na piwo za każdego konia!... Jędrzeju, pokaż im drogę i sposób!

Stajenni spoglądali po sobie, szukali wzroku gospodarza. Poczmistrz rad, że zapalczywość panicza gdzieindziej znalazła ujście, cichaczem cofnął się do izby.

— Do miliona batalionów! przyrośliście do ziemi?... Ty z czerwoną głową, śmiało ci z oczu patrzy — ruszaj naprzód!... masz zadatek.

Wilczek rzucił dukata. Chłopcy nie widząc poczmistrza, mrugnęli po sobie; rozkaz tak wspaniałego pana nie mógł spotkać oporu.

— Zuch z Władzia, nie ma co mówić — rzekł Skałka do Juliusza, pije i bije jak nikt w całej Galicyi; lękam się jednak, aby, tym razem, butelka starego węgrzyna, którą duszkiem na strzemienne wychylił, nie bróździła mu nieco po głowie. Wino mu dziś nie służy. Daj Boże, abyśmy ztąd wyszli na sucho.

— Cóż się ma nam stać? My jesteśmy tu widzami i niczem więcej. Bawmy się krotochwilą, dopóki nie nastąpi tragedya. Ale oto i publiczność się zwiększa — dodał Juliusz, powstając w powozie, z którego się był dotąd nie ruszał. — Znajoma twarz, jeśli się nie mylę.

Trąbka zagrzmiała im w same uszy; zdyszane konie stanęły jak wryte przed pocztowym progiem; nowy podróżny lekko wyskoczył, strząsł z odzieży kurzawę, krótkiem skinieniem powitał obecnych!

Kazimierz Poraj dążył także na kontrakty.

Tymczasem, opodal wszczynały się zgiełk i zwada.

Pocztylion zaprzężonego powozu, stary służbowiec, biczem przyjął stajennych napastników, odepchnął kamerdynera, na całe gardło wzywał swego podróżnego.

Wilczek spieszył swoim na pomoc, już kładł rękę na ramieniu zuchwalca, który śmiał sprzeciwiać się jego woli, gdy w tem, w drzwiach gospody zasterczała wysoka, chuda postać w szarym, pod szyję zapiętym surducie, w czapce kształtu melona, z długą porcelanową fajką w ustach skrzywionych w podkowę.

Zjawienie to zwróciło na siebie powszechną uwagę.

Z oberży, z poczty, swoi i przyjezdni skupili się koło powozu, ciekawi końca zwady.

Niemiec za jednym rzutem oka poznał o co rzecz idzie, wyrazu twarzy wcale nie zmienił, spokojnie zapłacił gospodarzowi rachunek, obejrzał zdawkową monetę, wcisnął grajcara służebnej dziewczynie, i ruszył ku swojej bryczce, obojętnie, jak gdyby do koła siebie nic nadzwyczajnego nie spostrzegał.

Wilczek odsunął się o kilka kroków; oczy zabiegły mu krwią, gniewem zapłonęło oblicze.

— Poczeka dwie godzin na bryczce, jeśli mu niewygodnie w izbie! Dalej Jędrzeju, weź się do dyszla, a wy hultaje do postronków! Dodaję każdemu po dukacie.

— Pocztyljon — siadaj na kozieł, i w drogę—krzyknął Prusak chrapliwym, ale bynajmniej nie wzruszonym głosem.

— Ty, stary, zatwardziały łotrze — wrzasnął Wilczek, tracąc wszelką miarę; jeżeli odważysz się ruszyć z miejsca, cienia duchu w tobie nie zostawię! Wyprzęgać konie, albo wam łby porozwalam!

Jeden ze stajennych wyrwał pocztyljonowi bicz; inni rzucili się do koni.

Niemiec podniósł się jak na sprężynach, wypuścił cienki kłębek dymu, dobył z kieszeni pistoletu, zmrużył lewe oko, wyciągnął rękę i rzekł cedząc wyrazy:

— Pierwszemu, który dotknie się moich koni, w łeb strzelę jak psu.

Usłyszano cyknięcie kurka; kobiety poroz biegały się z krzykiem, wzywając opieki Jezusa i Najświętszej Panny, czeladź pocztowa opuściła ręce.

Jędrzej, Juliusz i Skałka podbiegli ku Wilczkowi; Kazimierz tuż obok oficera, rozmyślał nad dziwnym spokojem jego rysów.

— Pocztyljon—siadał na kozieł i naprzód!— powtórzył Niemiec niby skamieniały z bronią w ręku.

Wilczek odepchnął służącego, który mu tamował drogę, wyrwał się z rąk Skałce i stanął naprzeciw podróżnego, tak, że piersią dyszla prawie dotykał.

Słowa więzły mu w gardle.

— Łatwo—rzekł z wolnym przyciskiem— grozić tym, którzy broń rzadko widują, a ni gdy nie mają z nią do czynienia. Oddawna wiadomo, że w Szwabii nie brak zuchów na bezbronnych, i że na szwabskich polowaniach, zające mniejby ginęły, gdyby umiały się odstrzeliwać. Czy nie raczyłbyś pan nam objaśnić o ile w tycų pogłoskach prawdy?

Oficer zimno słuchał słów tych miotanych w wiedeńskiem narzeczu, cierpliwie pasował się z zatkanym cybuchem zbuntowanej fajki, wbrew nareszcie zagadnięty, odrzucił płaszcz z kolan, i długiemi nogami zwolna dobywał się z bryczki.

— Miałeś słuszność kapitanie — szepnął Juliusz Skałce do ucha — Władysław szaleje, chodźmy między nich; Niemiec nie zdaje się tchórzem podszyty.

— Głupia historya — mruknął Skałka; zwiesił czapkę na bakier, namarszczył brwi i podszedł ku Wilczkowi.

Niemiec tymczasem prostował się i ręce w kieszenie zatykał.

— Nie umiem panu powiedzieć — ciągnął, co dzieje się w Szwabii — nie znam tego kraju. Mogę atoli zaręczyć, że w Kolonii, skąd jestem rodem, z równym pośpiechem dobywają broni przeciw napastnikom, jako i przeciw tym, którzy targają się na nasz honor, zwłaszcza. jeżeli ci ostatni zasługują na zaszczyt naszego strzału.

— Wyborny frazes; wymyśliłeś go pan pod Jeną! Ci, do których pan mówisz, warci wystrzału. Jestem hrabia Wilczek, przyjaciel mój kapitan Skałka, kawaler Dzierzbiński — szlachta równie czystej krwi, jak Hohenzollerny i Brandenburgi.

— Tem lepiej!—rad z ich znajomości, Gottfried Brunnen von Brunnenstein, major z drugiego pułku dragonów Szwerina.

— W istocie, nie rozumiem przyczyny sporu — wtrącił Juliusz, ośmielony łagodnym tonem Niemca — jestem pewny, że gdyby pan major wiedział ważne powody, dla których tak nam spieszno w drogę, sam ofiarowałby swoje konie.

— Milczże na Boga! — krzyknął Wilczek po polsku — cóż to, chcesz go przepraszać?

— Nie idzie nam — rzekł — ani o konie, ani o powody sporu. Możemy mówić ciszej; nie potrzeba, aby nas wszyscy słyszeli. Panie hrabio — jestem gotów. Racz odesłać służbę twoją i tych ludzi. Dobędę mego pudełka z pistoletami; te oto są krótkie, podróżne, do pojedynku niezdatne.

— Kapitanie — mówił Wilczek, uprowadzając na bok Skałkę — proszę cię, dostań naszą broń z powozu, i zajmij się zwykłym twoim obowiązkiem. Niemiec płynnie się wyraża.

— Oj Władziu, Władziu—odparł z westchnieniem Skałka, ty popędliwością twoją wpędzisz mnie do grobu.

— Ba! nie czas na morały; spiesz się i pamiętaj, że Lewiccy czekają nas na balu.

— Złote serce, ale przeklęta głowa! kochać ciebie to stracony kapitał.

— Idźże kapitanie—pan major się niecierpliwi.

Juliusz tymczasem, korzystał z oddalenia dwóch przyjaciół. Nie do serca mu szedł pojedynek, a raczej mogące wyniknąć prawne skutki z zaczepki na publicznej drodze. Urzędowa skarga oficera pociągnęłaby za sobą przykre następstwa dla Wilczka i dla dwóch jego towarzyszów. Zbliżył się do cudzoziemca, i raz jeszcze wynurzywszy żale; nad niepotrzebnem zajściem, probował z jakiej strony uderzyć, aby go pierwszego nakłonić do zgody.

Major von Brunnenstein był niewzruszony jak skała.

Juljuszowi zdało się nareszcie, że myśl szczęśliwą uchwycił.

— Pojedynek — rzekł — jest sprawą, której lekceważyć się nie godzi. Między ludźmi honorowymi, z obu stron powinny być równe warunki. Hrabia Wilczek ma świadków—pan major jesteś sam jeden. Czy nie lepiej byłoby odłożyć na później?

— Zapewne — regulamin przedewszystkiem.

— Sądzisz więc Pan?

— Że w obecnym wypadku, lepiej natychmiast rzecz zakończyć. Ja pierwszy raz w tym kraju podróżuję, jadę daleko i przez Galicyę nie wracam; to źle, to bardzo źle; ależ panów jest dwóch i jeden z was, pan naprzykład, nie odmówisz mi tego zaszczytu. Ufam zupełnie pańskiemu charakterowi.

Juliusz przygryzł usta.

— Żałuję — rzekł — nieskończenie, że nie mogę służyć panu Majorowi, ale oddawna przywykłem wyświadczać tę przysługę memu przyjacielowi i dziś... byłoby mi niesłychanie przykro... Wiem jednak, że podobnym wezwaniom nie należy odmawiać, i jeżeli pan koniecznie żądasz... Ależ powtarzam...

— Bynajmniej!—pokornie dziękuję.

Niemiec obejrzał się do koła; wzrok jego napotkał Kazimierza, który opodal nie bez pewnego wzruszenia wyglądał końca przygody.

Podróżny podszedł ku niemu, Juliusz mimowolnie także się doń zbliżył; Wilczek i Skałka nadchodzili.

— Byłeś pan świadkiem — rzekł pierwszy, uchylając nieco czapki — wypadku, jaki mnie spotkał? Jeden z tych młodych panów, zapewne rozweselony napojem...

Wilczek ścisnął pięście, podał ciało naprzód, niby do skoku na pastwę; towarzysze ujęli go za ramiona i osadzili na miejscu. Niemiec ciągnął dalej:

— Nie chcę zresztą wchodzić w powody, dość że zostałem napadnięty, znieważony czynem i słowem. Wypada mi teraz rzecz przyzwoicie zakończyć. Ci panowie są gotowi. Ja nie mam nikogo, jestem sam jeden. Pojedynek bez świadków, niepodobny. Regulamin przedewszystkiem. Przebacz pan, że lubo nieznajomy, zmuszony jednak koniecznością, muszę odwołać się do jego usług.

Wzmianka oficera o podochoceniu winem rozdmuchała w Wilczku nowe żary wściekłości. Prawdziwość zarzutu również oburzyła jego przyjaciół.

— Spodziewam się — krzyknął Juliusz po polsku, że pan Poraj nie stanie przeciw rodakom.

— Że nie przyczyni się do rozlewu bratniej krwi—dodał Skałka.

— Chyba — przerwał Wilczek, że zechcesz pan do końca obowiązków dopełnić, i ze świadka przejść na grabarza.

— Każ mu pan dyabła szukać na świadka— wtrącił Juliusz — wszakże dyabeł z Niemca się rodzi.

— Powiedz mu, że nie rozumiesz po niemiecku! — krzyknął Skałka — że świeżo przybywasz z zagranicy i w pojedynki się nie wdajesz...

— Że szanujesz prawa, że kochasz Cesarza i boisz się żandarmów — pochwycił Juljusz.

Kazimierz obojętnie przyjął grad mniej więcej niedorzecznych, a nawet obraźliwych wykrzykników.

— W podobnej sprawie — odparł niemiecką mową — nic nie mam do powiedzenia w narzeczu niezrozumiałem dla obrażonego.

— Dla obrażonego?... żartujesz pan.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Przedmioty Gospodarstwa Domowego *Jerozolimska 72* **MAGAZYN „METROPOL"** Sprzedaż za gotówkę i NA RATY od 30 kop. tygodniowo *Jerozolimska 72* 766—50-47

Gabinet-dentystyczny.
ze specyalną pracownią do wstawiania
ZĘBÓW SZTUCZNYCH
od 1 do 10 rub. za sztukę
818-52-34 przyjęcie od 9 do 6:
Chmielna N-r 16. m. 4.

K. M. Schröder
Nowy Świat 24.
Skład fortepianów i pianin.
Wynajem i sprzedaż na raty.
Telefon 1288. **Cenniki gratis i franco.**
944—52—12

„PRIMUS"
Kuchenki naftowo - gazowe palące się *bez knota*, nie wydzielając odoru i kopcia.
Sprzedaż u
Ed. Dusoge
Nowy Świat 5.
Cenniki gratis i franco. 945—25—11

SPECYALNY ZAKŁAD
Reparacyi maszyn do szycia
W. KALINOWSKI
Wspólna Nr. 15 785-50-43

Specyalna Pracownia
Okryć Damskich i Wierzchów do Futer
oraz przyjmuje wszelkie obstalunki
po cenach umiarkowanych
D. SOŁOWIEJ
Warszawa, ulica Bielańska № 19, mieszkania 3.
969—12—7

ZAKŁAD LECZNICZY
dla chorych dotkniętych zboczeniami mowy (**niemota, bełkotanie, mowa nosowa jąkanie** i. t. p
D-ra OŁTUSZEWSKIEGO
w Warszawie Marszałkowska 67.
W zakładzie znajdują również pomieszczenie i kuracyę dzieci ze zboczeniami mowy **upośledzone umysłowo.** 998-6-2

NOWY ZARZĄD
CZYTELNIA DLA KOBIET
Warecka 9.
Stale zaopatruje z nowości wszystkie działy. Bogaty dobór dzieł poważnych oraz klasycznych w 5 językach. Dla abonentek bez dopłaty 18 czasopism w 4 językach. Abonament miesięcznie **40** kop. 817—32—15
Wysyłka na prowincyę.

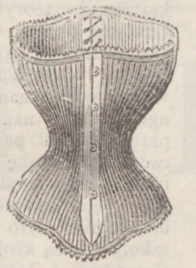
DENTYSTA CHWAT
Królewska 29.
Specyalność: Leczenie i plombowanie zębów — **Zęby sztuczne** od 9-ej do 11-ej rano wyjmowanie chorych zębów pod **Chloroformem** w obecności lekarza. 937-25-12

„Sudorivorat"
Potniki do obuwia męzkiego i damskiego. Obstalunki od rs. 3 załatwiam za zaliczeniami. Nowy Świat 61. 908-24-17

NOWOŚĆ
Gotowe Stemple-Monogramy Metalowe

Niezbędne i praktyczne dla każdego **do znaczenia bielizny domowej**, drukowania na papierze, kopertach, książkach i t. p. Cena tylko **20** kop. Poduszki niewysychające **z niewypierającym się tuszem** do znaczenia bielizny po **25** kop. Polecam także wszelkie stemple dla Kantorów, Banków i Urzędów. 952-10-10
Drukarnia i Fabryka Stempli
I. D. LEWINSOHNA
w Warszawie, Magazyn: Senatorska 30 wprost Kościoła.

Jòel Herzenberg
Warszawa, Tłomackie № 1.
SKŁAD TOWARÓW JEDWABNYCH i MANUFAKTURNYCH
oraz 995-12-2
wszelkich Podszewek dla Konfekcyi Męzkiej i Damskiej

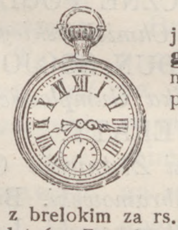

KAZIMIERA WINER
Nr. 3, Królewska Nr. 3, w Warszawie,
(drugi dom od Krakowskiego-Przedmieścia).
Poleca wielki wybór **Gorsetów** po cenach bardzo przystępnych, zacząwszy od **rs. 2 do rs. 30**, odstępuje znaczny rabat dla **pań Nauczycielek, Pensyonarek** i wogóle **Pań pracujących.** Jako specyalność **Gorsety hygieniczne, Gorsety dla ułomnych** i szelki do prostego trzymania się.
Z prowincyi przyjmuje zamówienia i wysyła za zaliczeniem pocztowem. 984—6—2

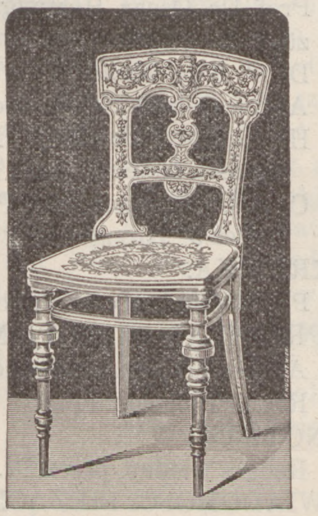
BIURO NAUCZYCIELSKIE!
BRONISŁAWY GOLCZEWSKIEJ
Nowotworzone pierwszorzędne kaucjonowane. *Rekomenduje* nauczycieli, nauczycielki, bony różnych narodowości. 44 S.-Krzyżka 44. 963-25—4

!! ARCYDZIEŁO TECHNIKI !!
KOMPLETNE WYDANIE DZIEŁ (4 tomy)
ADAMA MICKIEWICZA
W BRELOKU DO ZEGARKA?!
Lupa osadzona w breloku ułatwia czytanie tekstu.
Książeczka w eleganckim metalowym breloku rs. 2. w srebrnym 84 próby, pozłacanym lub oksydowanym breloku rs. 5. w breloku złotym 56 próby rs. 25; Na życzenie monogram lub herb, srebrny, za dopłatą 2 rs. 56 k. — złoty 5 rs. Za przesyłkę w Rosyi Europ. 25 k. w Azjatyckiej 50 k. 6-ść sztuk franco 965-11-4
Wydawca M. Szolc. Warszawa Nowy-Świat 56.
Do nabycia w księgarniach—większych magazynach jubilerskich—i materjałów piśmiennych

WARSZAWSKI ZAKŁAD REPARACYJNY.
W. BŁAŻEJEWSKIEGO.
Widok 24 w Warszawie. 933-50-12
przyjmuje reparacye **maszyn do szycia** wszelkich systemów.

Proszę zwrócić uwagę.

ZEGARKI „GWIAZDA."

Dzięki wielkiemu popytowi i udoskonaleniu wyrobu Zegarków, jestem w możności sprzedawać ozdobne i trwałe **kieszonkowe zegarki męzkie „Gwiazda,"** wszystkie trzy koperty grubo złocone, mechanizm pozłacany, werk na kamieniach, niczem nie różniący się od prawdziwych złotych
TYLKO za rubli 6 kop. 25,
(2 sztuki rubli 11 kop. 75).
Na żądanie Szan. Klientów, dodajemy ładną amerykańską dewizkę z brelokiem za rs. 1 kop. 75. Do każdego zegarka dołącza się piśmienna gwarancya na lat 6.—Zegarki wyregulowane wysyłają się po otrzymaniu 1 rubla zadatku.
ADRES: FIRMA HANDLOWA
J. M. WARKOWICKIEGO.
Zakład Zegarków Genewskich w **Warszawie, Pańska Nr. 5.**
Mnóstwo podziękowań i odezw. 954—10—8.


NAJWYŻEJ ZATWIERDZONE
AKCYJNE TOWARZYSTWO
Fabryki Mebli Wiedeńskich
JAKÓBA i JÓZEFA KOHN
Warszawa, Plac-Teatralny № 11.
Poleca
wielki wybór najgustowniejszych i najelegantszych mebli wiedeńskich,
a mianowicie:
MEBLE ZWYCZAJNE, MEBLE FANTAZYJNE, MEBLE BUDUAROWE, MEBLE GABINETOWE, MEBLE SALONOWE i t. p. **wyplatane, wypalane, imitacya skóry w różnych kolorach i deseniach, kryte materyą, skórą, pluszem** i t. p.
957-6-6
Pierwsze źródło tej branży.
CENY PRZYSTĘPNE.

F. Pierzchalski
MAZOWIECKA 8
SKŁAD SZKŁA
krajowego i zagranicznego
WYBÓR DUŻY.
CENY PRZYSTĘPNE.
Własna Malarnia Porcelany.
Ogromny wybór przedmiotów do upiększenia.
967-1-7

REKOMENDACYA SŁUŻBY.
Obecnie otworzyłem Kantor Kaucyonowany Rekomendacyjny Służby, pod swoją firmą **Krakowskie-Przedmieście i róg Podwala Nr 91 bez wpisowego**
a to dla udogodnienia Sz. Państwu. Będę się starał zasłużyć na względy jak w latach poprzednich. Z Szacunkiem.
820-12-10 **S. Karasiewicz.**

SZKOŁA KROJU
systemem WORTH'A
M. Bronisławy Tuszowskiej
Wyucza kroju w najkrótszym czasie najdokładniej za rs. **10**, oraz przyjmuje wszelkie roboty w zakres garderoby damskiej i dziecinnej wchodzące. Wykończenie akuratne. Ceny najprzystępniejsze. 983—6—5
Żórawia 23, m. 25, parter.

!!!WAŻNE DLA DAM!!!
MAGAZYN
Okryć Damskich
S. LEWI,
Niecała 12, 1-e piętro.
Roboty wykonywają się przez krawców męzkich, podług ostatnich żurnali w najkrótszym terminie.
CENY NAJPRZYSTĘPNIEJSZE. 686-25-18


KANARKI
pięknie śpiewające, Papugi gadające, szare i zielone, Kardynały czerwone, zielone i szare, Inseparables, chińskie Słowiki złote i srebrne Rybki, poleca tanio bo w prywatnem mieszkaniu. 1002-4-1
E. FUNK,
ul. Nowogrodzka № 31. m. 2, 2-gi dom od Marszałkowskiej.

„LEOCADIE"
specyalna pracownia
Ubiorów Dziecinnych
w Warszawie, Trębacka 3.
981—12—3

Okulary, Binokle i Lornetki od rs. 1. **Pasy brzuszne i Bandaże rupturowe** sprężynowe, gumowe, lekkie i nietamujące ruchów ciała od rs. 2. **Opaski hygieniczne** damskie ulepszone po kop. 40, 75 i rs. 1. Obstalunki listowne uskuteczniam bezzwłocznie. 868-40-13
Michał Pik, optyk mech. m. Warsz. **Warszawa, ulica Miodowa nr. 1.**

MAGAZYN MÓD
i Pracownia Kwiatów Sztucznych
podług modeli Paryzkich 902—24—12
A. OJRZANOWSKIEJ
w Warszawie, Rymarska Nr. 2.
Poleca na każden sezon kwiaty, girlandy ślubne oraz wielki wybór kapeluszy gotowych. Przyjmuje wszelkie obstalunki. Ceny umiarkowane.

„PRZEGLĄD FILOZOFICZNY"

TREŚĆ ZESZYTU IV.